

## Rejs do Londynu

Rodzice poznali się w klubie żeglarskim w Gdyni. Oboje pasjonowali się żeglarstwem. Mama spędziła swoje dzieciństwo w Kaliszu. Gdy wybuchła wojna, a Kalisz został włączony do III Rzeszy, mama z całą swoją rodziną musiała opuścić swój dom i została przez Niemców przesiedlona do Wołomina w Generalnym Gubernatorstwie. Tam spędziła wojnę. Po wojnie studiowała filologię angielską na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, potem przeniosta się do Sopotu. Znając doskonale język angielski mogła w Trójmieście liczyć na dobrą pracę. Była zafascynowana żeglarstwem i tak, pod koniec lat pięćdziesiątych, trafiła do jednego z działających w Gdyni klubów żeglarskich. Był to Jacht Klub Morski Gryf, klub z przedwojennymi tradycjami, któremu udało się - mimo szykan i wielu trudności - przetrwać najtrudniejsze czasy stalinizmu. Tata do klubu trafił przypadkiem, po rekomendacji jednego z nauczycieli szkolnych, i związał się z nim niemal na całe życie. Jacht Klub Morski Gryf stał się ważny również dla mnie i moich braci. Jako dzieci wielokrotnie uczestniczyliśmy w uroczystościach rozpoczęcia i zakończenia sezonu żeglarskiego, to jest podniesienia i opuszczenia bandery. Tam nasi rodzice ukazywali nam swoje najlepsze oblicze. Tylko tam, jeden jedyny raz w życiu, mój tata, który właściwie był abstynentem, widziany był przez kolegów klubowych w stanie wskazującym na spożycie alkoholu. Ja przez całe życie nigdy nie widziałem go pijanego.

Mama była o starsza od taty o sześć lat. Była mądra, inteligentna, bystra i szybka, zawsze gotowa do pracy. W klubie niektórzy traktowali ją z lekkim dystansem, patrzyli na nią ze zdziwieniem, a wręcz rozbawieniem, bo zamiast odpocząć, pogadać jak inni, wciąż rwała się do pracy. - Kapitanie, co macie do roboty?!



- pytała stanowczym i nie znoszącym sprzeciwu głosem, gdy tylko zjawiała się w klubie. Kapitan, chcąc nie chcąc, musiał jej coś znaleźć albo wymyślić jakieś zadanie. Budziła jednocześnie i lęk i zainteresowanie. Tata też trzymał się od niej na dystans, zresztą nie tylko on, bo była nieprzewidywalna i nigdy nie było wiadomo, co jej strzeli do głowy lub z czym wyskoczy. W 1959 r. wzięła udział w modnym i popularnym wówczas konkursie „Zgaduj, zgadula”. Łatwo doszła do finału, który rozgrywał się na scenie przy Kamiennej Górze w Gdyni. Zasady były proste,

prowadzący zadawał pytanie, uczestnicy musieli na nie szybko odpowiedzieć. Ten, który pierwszy udzielił prawidłowej odpowiedzi, wygrywał. Finałowe pytanie skierowane do mamy i jej konkurenta dotyczyło Kanału Kilońskiego w północnych Niemczech. – Po jednej stronie kanału jest Kilonia. A jak nazywa się miejscowość po drugiej stronie? – Brunsbüttelkoog! – krzyknęła mama i wygrała jeden z pierwszych wyprodukowanych na Wybrzeżu dużych, naturalnie czarnobiałych, telewizorów Neptun, z bardzo małym czternastocalowym ekranem. Taka była mama. Niektórzy w klubie żartowali potem, że to przez ten wygrany telewizor tata się nią zainteresował i później się z nią ożenił. Prawda była inna, bo choć tata rzeczywiście był wówczas przy scenie na Kamiennej Górze i obserwował poczynania swojej klubowej koleżanki, to jednak w dalszym ciągu raczej się jej obawiał, niżby chciał z nią zawrzeć bliższą znajomość.

Rok po tym wydarzeniu, jesienią 1960 r. klub Gryf organizował dla swoich członków rejs z Gdyni do Londynu. Tata po odbyciu służby wojskowej i kilku latach spędzonych na stanowisku celnika w Urzędzie Celnym, postanowił zwolnić się z pracy, wypłynąć w kilkutygodniowy rejs i po powrocie pomyśleć o swojej przyszłości. W tamtych czasach znalezienie pracy nie stanowiło żadnego problemu. W rejs do Londynu, na należącym do klubu jachcie „Albatros”, wypłynęło siedem osób, wśród nich była też mama. Pierwsze przygody zaczęły się już przy wejściu do wspomnianego wyżej Kanału Kilońskiego. Kanał ma 98 km długości i niewiele więcej niż 100 metrów szerokości. Jacht, którym płynęła dzielna załoga, nie miał silnika i mógł płynąć tylko na żaglach. Pierwszego dnia poszło mu nawet dobrze, bo przepłynęli z wiatrem około 30 km, ale potem wiatr się zmienił. Halsować nie mogli, bo było za wąsko. Ostatecznie, kapitan jachtu wymyślił, że trzeba znaleźć jakiś statek, który by wziął ich na hol. Po kilku godzinach pojawił się polski trawler rybacki. Kapitan stanął z cumą w rękę na pokładzie i zaczął do niego machać. Trawler zatrzymał się, wziął ich na hol i w ten sposób dotarli do portu w Brunsbüttelkoog. W niemieckim miasteczku portowym Cuxhaven, w którym zatrzymali się na noc, spotkali Polaka, który zachęcał ich do ucieczki z komunistycznego kraju i pozostania w Niemczech. Obiecywał, że może pomóc i pokazać, gdzie należy się zameldować. Nie skorzystali, bo nie wzbudził w nich zaufania, a poza tym mieli jeszcze przed sobą długą wyprawę i wiele planów.



Bez większych problemów dotarli do ujścia Tamizy. Stąd do centrum Londynu było już około 20 mil morskich. Tu jednak pojawił się ten sam problem co na kanale kilońskim. Łódź bez silnika zdana była jedynie na wiatr i prądy morskie. Normalna jednostka, statek, trawler, kuter, czy barka pokonywały tę odległość w kilka godzin, „Albatros” potrzebował kilku dni. Pierwszego dnia pokonał jedną czwartą odległości. Dopóki prąd był wstępujący w górę rzeki, jacht płynął do przodu, gdy się zmieniał, trzeba było cumować przy brzegu i czekać przez dwanaście godzin na kolejną zmianę prądu. Podchodząc do jednej z boi, gdy właśnie zmieniał się prąd, jacht uderzył w nią bokiem uszkadzając sobie relingi na burcie. Nie było to jakieś wielkie uszkodzenie, można było z tym spokojnie płynąć dalej, a nawet bardzo się to przydało w kolejnym dniu. Bo gdy jacht szykował się do odcumowania, od strony Londynu nadpłynął holownik ciągnąc za sobą kilka barek. Kapitan holownika chcąc ominąć jacht wykonał manewr, jednak nie do końca skutecznie, gdyż jedna z ciągniętych przez niego barek delikatnie otarła się o „Albatrosa”. Kapitan holownika zauważył to i zatrzymał się. Po chwili podszedł do jachtu i gdy zobaczył uszkodzone relingi, natychmiast zaproponował gratyfikację finansową. W ten sposób polska załoga wzbogaciła się o kilkadziesiąt funtów, co było dla niej gigantyczną sumą, której w Polsce w żaden sposób nie byłiby w stanie uzbierać.

Gdy w kolejnym dniu jacht znów czekał na zmianę prądu, zacumowaną u brzegu Tamizy jednostką zainteresowali się brytyjscy celnicy. Byli ciekawi czemu jacht tak długo stoi przy brzegu. Wydało im się to podejrzane. Wówczas kapitan poprosił moją mamę - najlepiej w tym gronie posługującą się językiem angielskim - by im to wytłumaczyła. Mamie dwa razy nie trzeba było powtarzać. Swoim nienagannym, pięknym angielskim i przekonującym głosem wyjaśniła, że jacht żaglowy - jak sama nazwa wskazuje - pływa tylko na żaglach. Chwilę to trwało, zanim celnicy zrozumieli, że jacht nie ma silnika. Coś takiego z trudem mieściło się im w głowach. Ostatecznie, ponieważ nie wykryli żadnego przemytu, a wręcz nie znaleźli na jachcie nic cennego, dłużej ich nie zatrzymywali i pozwolili płynąć z wiatrem dalej...



Londyn zrobił na mamie i tacie olbrzymie wrażenie. Byli tam pięć dni. Nocowali na jachcie. Wspólnie chodzili po mieście, obejrzelili jakiś film w kinie panoramicznym, co było wówczas nowością niedostępną jeszcze w krajach za żelazną kurtyną, zwiedzili Hyde Park, Pałac

Buckingham, przed którym tata zrobił mamie jedno z jej najładniejszych zdjęć, z brytyjskim gwardzistą w czarnym, tradycyjnym nakryciu głowy. Zbliżyli się tam do siebie, albo chcąc być bardziej precyzyjnym - mama wybrała sobie tam tatę jako optymalnego kandydata do założenia rodziny. Tata nieraz przyznawał, że mama była dla niego za bystra i za inteligentna, a on sam nie dojrzał jeszcze wtedy do małżeństwa. Ale byli już parą.

Po kilku dniach w Londynie popłynęli do Hawru we Francji. Z Hawru do Paryża jest tylko dwieście kilometrów. Jeden z członków załogi wiedział, że ma w Paryżu rodzinę, choć nie miał z nią żadnego kontaktu. Postanowili zatem wyruszyć do stolicy Francji. Tata, od zawsze bardzo oszczędny, pojechał



autostopem, reszta zrzuciła się na bilety kolejowe. Gdy dotarli do Paryża, znaleźli w książce telefonicznej nazwisko rodziny kolegi i on tam zadzwonił. Początkowo krewni przyjęli go bardzo podejrzliwie i z rezerwą, ale gdy razem obejrzeli stare albumy i na jednym ze zdjęć znaleźli go jako małe dziecko, to uwierzyli, że są faktycznie spokrewnieni. Dzięki tej rodzinie uczestnicy rejsu zjedli kolację w jednej z paryskich restauracji, potem znaleźli tani nocleg, zwiedzili Paryż i drugiego dnia wieczorem powrócili na zacumowaną w Hawrze łódkę. W drodze powrotnej byli jeszcze w Rotterdamie, w Hadze, płynęli wzdłuż Belgii i Holandii, aż w końcu późną jesienią 1960 r. powrócili do Gdyni.